

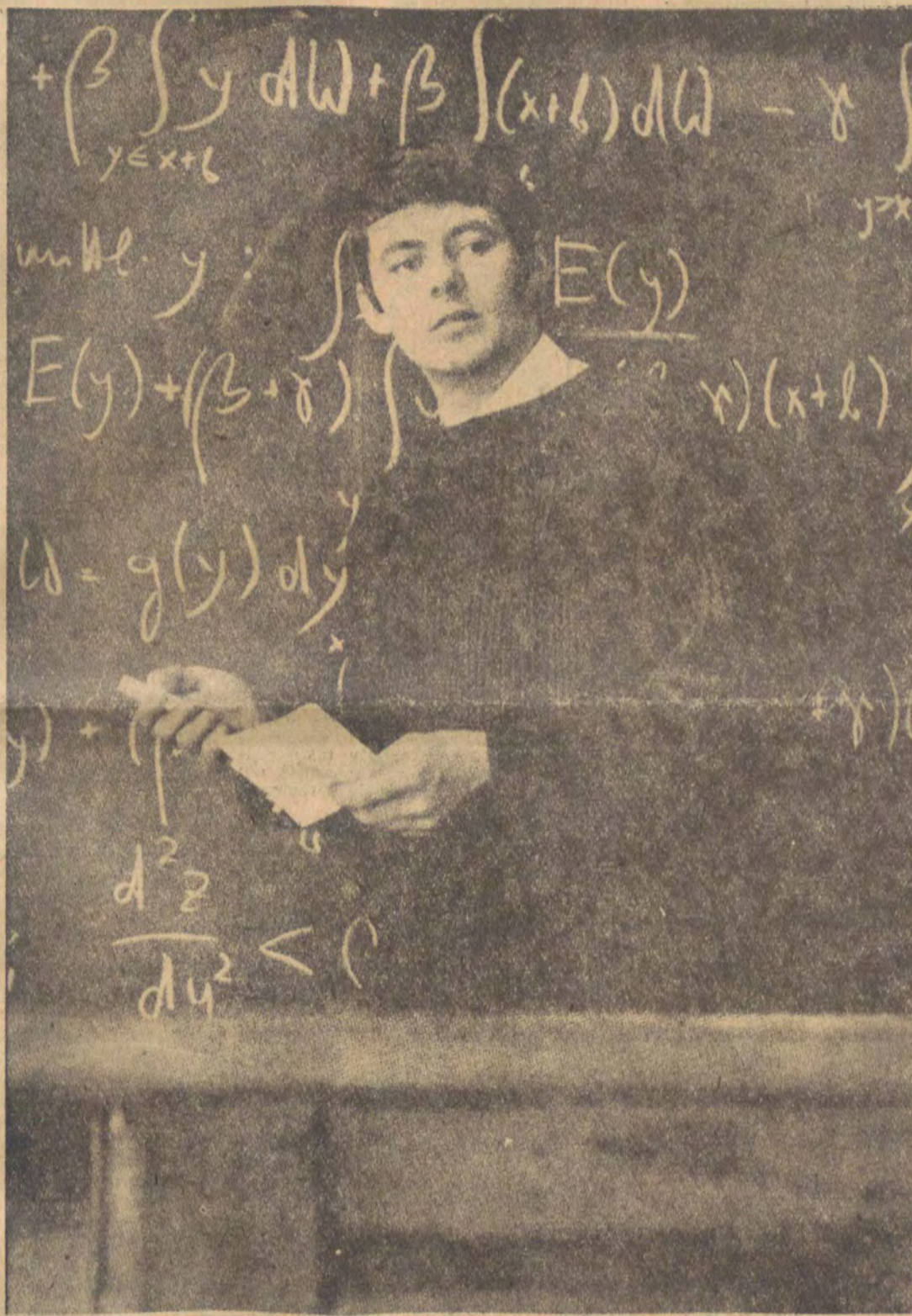
Dzisiaj w numerze: ● Wydaje się, że są - a nie ma ● Z czego sżyje, z czego żyje „Telimena”? ● Odważny partyzant ● Problemy muzyczne Łodzi ● Klub nieudaczników ● Felietony ● Recenzje

odgłosy



41 (571)
13. X. 1968 r.
18 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI



LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Koniec wielkiej improwizacji

W 1925 roku z warsztatu naprawczego „Widzewskiej Manufaktury” powstała „Wifama”. Przeszło sto lat temu Józef John założył przy trakcie Piotrkowskim kuźnię, z której potem powstała odlewnia i zakłady metalowe — dziś ZM im. J. Strzelczyka — „Jotes”. W czasie okupacji w niektórych fabrykach włókienniczych zainstalowano maszyny i produkowano amunicję, części do czołgów i samolotów. Po wojnie proces przekształcania włókienniczych fabryk w zakłady przemysłu metalowego i elektrotechnicznego trwał i umacniał się. Taki właśnie rodowód ma Łódzka Fabryka Zegarów, „Elester”, „Elan”, Zakłady Sprzętu Motoryzacyjnego — 1 i inne. Od podstaw natomiast wybudowano „Elte”, „Spomasz” i „Famed”.

Rozwój przemysłu metalowego w Łodzi ma wielkie znaczenie dla kształtowania się robotniczych środowisk. Rozwój produkcji tej gałęzi przemysłu skupia w mieście robotników, techników i inżynierów o wysokich kwalifikacjach. Poza tym ściślej wiąże gospodarkę Łodzi z krajem. Powstające w Łodzi maszyny, aparaty i urządzenia bądź to służą wyposażeniu innych fabryk, bądź stanowią elementy powstających w tych fabrykach urządzeń, maszyn i agregatów.

Warunki, w jakich powstawał w Łodzi przemysł metalowy, maszynowy i elektrotechniczny zdecydowały o dniu dzisiejszym tego przemysłu i wpływają na jego przyszłość. „Elan” i „Elcal” znalazły się w kolizji z planami urbanistycznymi miasta, „dzięki” temu muszą przenieść się na inne tereny i pobrać nowe pomieszczenia i to do 1975 roku. „Elan” składa się z 4 oddziałów rozmieszczonych w różnych częściach miasta. „Elester” ma dwa takie oddziały. „Elester” nie posiada już możliwości instalowania ciężkich maszyn, niezbędnych dla dalszego rozwoju produkcji. Maszyny te instaluje się na piętrze, wzmacniając stropy, narażając ludzi i sprzęt na ewentualność wypadku. W tej sytuacji powstała koncepcja połączenia obu fabryk w jeden kombinat. Powstanie on na Dąbrowie.

Dalszy ciąg na str. 2

ANDRZEJ MAKOWIECKI

WSPÓLNIE SPRAWIE DŁWIE

1. Zebrali się, żeby wyznaczyć delegata na V Zjazd partii, i żeby wybrać swoich przedstawieli na konferencję dzielnicową, ale przecież nie tylko po to. Wybór, najbardziej sprawiedliwy, trafny,

dokładnie umotywowany, mógłby odbyć się w godzinę, a ich konferencja trwała od dziesiętej do szesnastej, z trzema pięciominutowymi przerwami na otwarcie okien, wentrowanie sali z ciężkich kłębow dymu, i jedna, nieco dłuższa przerwa na obiad. Powiedział od razu: delegatem na V Zjazd PZPR został — z ramienia Łódzkiego Zakładu Przemysłu Pończosznego „Feniks” — Mieczysław Walerysiak. Walerysiak jest pończosznikiem; obsługuje te najbardziej nowoczesne, skomplikowane maszyny. W „Feniksie” pracuje od lat i dał się poznać zarodze nie tylko jako działacz partyjny i związkowy, społeczny inspektor pracy; także jako dobry kolega, no i przede wszystkim, świetny fachowiec, a co, jak nie rzetelna robota, liczy się najbardziej? Walerysiak krótko, zwięźle, bez zbędnego patosu podziękował zebranyim za zaufanie. Ale zastanówmy się, czy ta długa, sześciogodzinna bez mała dyskusja, która poprzedzała jego wybór, była tylko tłem, oprawą tej ważnej uroczystości?

2.

Trzeba było posłuchać, z jaką pasją dyskutują ludzie, jak żarliwie i szczerze mó-

wia o problemach produkcji, z jaką swobodą orientują się w zawiłościach polityki: sprawach Bliskiego Wschodu, Azji i Europy. Trzeba było zobaczyć, jak bardzo wrzliwi są łódzcy robotnicy na wszelkie próby siania zamętu wśród naszej młodzieży, jak bardzo leży im na sercu jedność wspólnoty socjalistycznej. Przemawiali młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety, dyrektorzy i sekretarze podstawowych organizacji, i zwykli szeregowi pracownicy zakładów, którzy mają tę Dickną zaletę, że nie potrafią szorstkiej, gorzkiej prawdy owijać w piękne słowa.

Przytoczmy kilka kontrowersyjnych wypowiedzi:

Tow. Andrzejczak z Zakładu „D” ustosunkował się do referatu wygłoszonego przez I sekretarza KZ — Jana Ciszewskiego. Zdaniem Andrzejczaka — w referacie zbyt mało miejsca poświęcono omówieniu pracy w grupach partyjnych; zabrakło informacji, jak poszczególni towarzysze wywiązują się z zadań partyjnych, postawionych im przez egzekutywę.

Nie wydaje się, aby zarzuty tow. Andrzej

Dalszy ciąg na str. 3

W dyskusji występują nieraz różnice poglądów. Członkowie partii mogą zajmować różne stanowiska w określonych sprawach. To jest ich prawo, z którego powinni korzystać... W dyskusji przedzjazdowej mogą być wysunięte wnioski i propozycje bądź niesłuszne bądź niemożliwe do zrealizowania w naszych obecnych warunkach. Mogą też podnieść się głosy niezasadnionej krytyki takich czy innych aspektów polityki partii. Nie powinniśmy się tego obawiać. Wszystko można bowiem wyjaśnić i wytłumaczyć.

(Z wystąpienia Władysława Gomułki na XII Plenum Komitetu Centralnego PZPR)



Znowu nagromadziło się wiele ważnych wydarzeń: spotkanie Komisji przygotowawczej w Budapeszcie, rozmowy czechosłowacko-radzieckie w Moskwie oraz debata generalna na sesji ONZ, a w tym wzbudzające ogólne zainteresowanie wystąpienie min. Gromycki. Tym też politycznym faktem poświęcimy dzisiejszy komentarz.

Planowo, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami zebrały się w Budapeszcie Komisja i Grupa robocza dla przygotowania międzynarodowej narady partii komunistycznych i robotniczych. W sesji uczestniczyli przedstawiciele 58 partii — wobec 34 w kwietniu br. Niskotne partie poinformowały Komisję listownie, że z różnych przyczyn nie mogą wziąć udziału w spotkaniu.

Spotkanie potwierdziło, aby narada moskiewska poświęcona była walce przeciwko imperializmowi, o jedność akcji partii, jak również wszystkich sił antyimperialistycznych.

Uznano natomiast za słuszne powtórne rozpatrzenie terminu narady, co po zasięgnięciu opinii Komitetów Centralnych nastąpi najprawdopodobniej 17 listopada. Wtedy odbędzie się następna sesja Komisji przygotowawczej.

Spotkanie budapeszteńskie poprzedziły w prasie burzliwej liczne spekulacje, których sens sprowadzał się do przewidywania ogromnych trudności i przeszkód w osiągnięciu jednolitego zdania co do kontynuowania prac przygotowawczych i samej narady. Liczono, że pojawią się takie rozbieżności poglądów, które uniemożliwią prowadzenie dalszej pracy.

Komunikat o obradach Komisji kładzie kres tym kalkulacjom — zaprzecza nadziejom Zachodu na pogłębienie różnic w międzynarodowym ruchu. A więc w sumie jeszcze jeden wielki zawód dla sił reakcji.

Zawodem dla nich jest z pewnością również wynik rozmów moskiewskich między delegacjami ZSRR i CSRS. Rozmów, które zapowiadane były już wcześniej, a które dotyczyły przede wszystkim porozumienia moskiewskiego, stopnia jego realizacji.

Delegacja czechosłowacka w składzie: Dubczek, Czernik, Husak oświadczyła, że KC KPCz i rząd CSRS wzmocnią swe wysiłki, aby umocnić kierowniczą rolę partii, bardziej zdecydowanie przeciwstawiając się siłom antysocjalistycznym, wzmocnią organa partyjne i rządowe oraz spowodują, że środki masowego oddziaływania w pełni służą będą narodowi.

Rozmawiające strony uzgodniły, że podpiszą układ o czasowym rozmieszczeniu wojsk sojuszników w Czechosłowacji oraz że nastąpi etapami wycofywanie pozostałych wojsk.

Omówiono także najważniejsze problemy bezpieczeństwa i pokoju w Europie i świecie.

Po powrocie z Moskwy premier Czernik oświadczył, że jest zadowolony z wyników rozmów, i że w najbliższym czasie zrealizowany zostanie I etap wycofywania wojsk.

Wreszcie powódów do rozczarowania siłom zimnowojennym dostarczyło przemówienie min. Gromycki w ONZ, utrzymane w pokojowym tonie, akcentujące potrzebę międzynarodowej współpracy. Jaka jest synteza myśli, wypowiedzianych przez radzieckiego ministra?

Omówimy to przemówienie problemami. WSPÓŁPRACA MIĘDZYKRAJOWA. ZSRR był i jest zdecydowanym zwolennikiem poszukiwania możliwości współpracy lub nawet wspólnego działania z rządami krajów kapitalistycznych w celu zapobieżenia wojnie światowej. Nie będzie jednak tolerować „stawiania pod mur” wspólnoty krajów socjalistycznych i prób wyrwania z niej choćby jednego ogniska.

ROZBROJENIE. Jest to jeden z największych współczesnych problemów. Piramida zbrojeń jest coraz chwiejniejsza. Układ o nieprolifacji broni nuklearnej, który do chwili obecnej podpisało osiemdziesiąt państw otwiera perspektywę dalszych porozumień. ZSRR proponuje zakaz używania tej broni, postawienie jej poza prawem. Rząd radziecki podtrzymuje swój pakiet propozycji na temat: ograniczenia strategicznych środków przenoszenia broni, zaniechania wszelkich z nią prób, zrezygnowania ze służb patrolowych okrętów podwodnych w te brzoń wyposażonych, likwidacji obcych baz oraz rozbrojenia nuklearnego.

NRF. Rząd ZSRR nie jest przeciwny dobremu stosunkom z tym krajem. Uważa, że oba państwa niemieckie powinny być członkami ONZ. W Bonn są jednak politycy, którzy chcieliby na nowo nakreślić mapę Europy. Kanclerz Kiesinger przyznał przecież niedawno, że NRF żąda zmiany europejskiego status quo.

WIETNAM. Jest możliwe położenie kresu wojnie i zapewnienie politycznego rozwiązania problemu. Trzeba tylko, aby w USA wzięto górę realistyczne spojrzenie na sytuację. Bez zaprzestania bombardowań DRW nie może być mowy o owocnych rokowaniach.

BLISKI WSCHÓD. Przywrócenie pokoju w tym rejonie świata jest konieczne. Rząd ZRA wystąpił z inicjatywą skoordynowania posunięć, mających, to na celu. Izrael musi jednak zrezygnować ze swych prób zatrzymywania siłą okupowanych terenów arabskich.

KOLONIALIZM. 50 mln ludzi pozostaje jeszcze w niewoli kolonialnej. Z tym faktem nie wolno się godzić. Ci, którzy wbrew uchwatom ONZ utrzymują kolonialne reżimy — aniużują na potępienie. Nie można również godzić się z rasizmem. ZSRR popierał, i nadal będzie to czynić, siły walczące o wyzwolenie narodowe.

ONZ. ZSRR zmierza do podniesienia autorytetu ONZ i jej organu — Rady Bezpieczeństwa. Droga do zwiększenia ich roli i skuteczności prowadzi m. in. przez przekształcenie ONZ w organizację uniwersalną.

Przemówienie min. Gromycki ocenione zostało przez polityków i komentatorów jako spokojne i rzeczowe, zachęcające do wzmożenia wysiłków w kierunku współpracy. Wyeksploatowano w nim bowiem wszystko, co może służyć pokojowi.

W. SŁAWSKI

To niewątpliwie duża suma pieniędzy. A zaczęło się tak. Przed kilku laty p. Douglas William Johnson znalazł na ulicy Los Angeles worek. Worek jak worek. Zawartość jego stanowiąła jednak nie lada sensacja: 240.000 dolarów w gotówce. Zwłaszcza dla p. Johnsona, z zawodu portiera — nie spokrewnionego z prezydentem Stanów Zjednoczonych tego samego nazwiska — który nigdy w życiu nie widział tyłu pieniędzy. Niewiele się zastanawiając, co w tej sytuacji należy zrobić, zaraz po przyjeździe do domu zawiadomił policję o znalezieniu worka z pieniędzmi. W kilkanaście minut później agenci policyjni byli u niego w domu. Sprawa się wyjaśniła: firma Brinks wysłała samochód ciężarowy do banku, naładowany workami zawierającymi dolary. W jakiś dziwny sposób jeden z worków wypadł w czasie jazdy, o czym zaraz po przyjeździe do banku zawiadomiono policję. Policja szukała, ale bez rezultatu. Dopiero telefon p. Johnsona uspokoił poszkodowanych... „Gdybym zatrzymał pieniądze — oświadczył znalazca — nie mógłbym spojrzeć w oczy moim trojgu dzieciom”.

I właściwie nie byłoby o czym mówić, bo wszędzie przecieć bywała ludzka oddajacy zgruby, gdyby nie smutny finał tej historii. Johnson zamiast stać się bohaterem dnia, stał się „najbardziej pogardzanym, wśmiewanym, nekczanym z ludzi”. Idiota — wołano za nim — mógłbyś do końca życia nie pracować, gdybyś był schował pieniądze. W szkole dokuczano dzieciom ojca. Głoszono, iż Johnson zwracając 240.000 dolarów, dowiódł, że jest największym na świecie kretyńcem... Tragedia uczciwego człowieka, skłoniła powieściopisarza amerykańskiego Nelsona Algrena do napisania do Johnsona listu, pełnego gorzkiego sarkazmu. Zastanawiam się — pisał Algren — nie tylko nad tym, czy jestes wart nazwy Amerykanina, ale także, czy możesz siebie nazwać uczciwym portierem...

Od opisu tej sprawy, zaczyna swa książkę amerykański dziennikarz Fred J. Cook. Książka nosi tytuł: „Skorupowany kraj”, a w podtytuł napisano: „Moralność społeczna w społeczeństwie Ameryki”. Chodzi o Stany Zjednoczone. Żeby zaś uniknąć wszelkich

niejasności, powiedzmy od razu, iż książkę tę wydała firma, której w żaden sposób nie można posadzić o radykalizm, czy lewicowe powiązania. Ukazała się w Nowym Jorku w 1966 roku, nakładem wydawnictwa Macmillan — amerykańskiej odnogi przedsiębiorstwa, będącego własnością rodziny byłego brytyjskiego konserwatywnego premiera Harolda Macmillana. Otóż w książce tej autor stwierdza, że tragedia uczciwego Johnsona, typowa dla stosunków amerykańskich, jest efektem wspaniałych zasad etycznych, dyktowanych przez pieniądź. Odnierając się zaś na materiale umieszczonym w książce, można z całym obiektywizmem powiedzieć, że twórcami i promotorami tej „etyki” są ci, którzy dysponują kolosalnymi majątkami. Rezultaty są widoczne na każdym kroku. Ci

rencyjnych firm: Westinghouse i Allis-Chalmers. Spotkania odbywały się w prowincjonalnych miastach, lub miejscowościach letniskowych. Przy meldowaniu się w hotelach, podawano fałszywe nazwiska. Telefonowano do siebie wyłącznie z budek telefonicznych. Korespondowano na papierze bez nadruku firmowego, wysyłając listy na adres prywatny, by sekretarki w biurach nie znalazły ich treści. Gdy panowie wracali z tych konspiracyjnych spotkań, żądali w swych firmach zwrotu kosztów podróży do miejscowości innych, niż te, w których faktycznie przebywali.

Do czego służyła ta cała konspiracja? Do uzgodnienia podwyżki cen różnych maszyn energetycznych. Na zasadzie bowiem obowiązującej

przedsiębiorstwa zarobiły setki milionów dolarów.

Metody te zostały zdemaskowane w następujących okolicznościach. Państwowa firma energetyczna w stanie Tennessee, rozpisła przetarg na zakup turbogeneratorsa o mocy 500.000 kilowatów. Konspiracyjnie uzgodniono między „konkurentami”, że tym razem przetarg wygra General Electric. Rola drugiego konspiracyjnego partnera (Westinghouse) polegała na wykazaniu, że oferta General Electric jest bardzo korzystna dla nabywcy. Zgodnie z tym planem Westinghouse zaofertował dostarczenie turbogeneratorsa za 17.633.000 dolarów, a General Electric wystąpił z nieco niższą ceną a mianowicie 17.563.000 dolarów.

Ukartowana z góry afery zakończyłaby się sukcesem zakonspirowanych współników, gdyby nie przypadek. Otóż firma angielska C.A. Parsons, stojąca z dala od amerykańskiej mafii konspiracyjnej, wzięła również udział w wspomnianym wyżej przetargu. Ten nie przewidziany przez konspiratorów konkurent zobowiązał się dostarczyć turbogeneratorsa za cenę przeszło 5 milionów dolarów niższa od propozycji amerykańskich. Żądał bowiem tylko 12.095.800 dolarów. Nic więc dziwnego, że gdy porównano trzy oferty, wybuchł głośny skandal. Okoliczności przetargu przedostały się na łamy prasy, musiał się nimi zainteresować parlament. Konspiracyjne praktyki znalazły swój epilog w sądzie.

W stan oskarżenia postawiono nie tylko firmy, ale także owych wysokich urzędników, którzy z naruszeniem prawa zawierali konspiracyjne porozumienia, podnoszące ceny. Bardzo charakterystyczna była ich obrona. Twierdzili, że działali w interesie firmy, w której pracowali. To firma żądała od nich niemoralnych praktyk. Byli urzędnikami, więc musieli posłusznie wykonywać polecenia. Są niewinni, bo przecież nie można karać człowieka za to, że jest dobrym, karnym urzędnikiem, gotowym zrobić wszystko, czego żądają przełożeni...

Em.

Na ucho

240 000

dolarów

sami, którzy nagrywali się z Johnsona, oszukują własne państwo przy płaceniu podatków. Co roku 25 miliardów dolarów dochodu, zostaje zafalane przed urzędami skarbowymi.

Ale wróćmy do patronów tej swoistej poletej etyki. Dla ich poznania warto zatrzymać się nad pewną kartą z dzieł giganta przemysłowego, znanej firmy General Electric. Otóż, jak pisał Cook, wysocy urzędnicy tego przedsiębiorstwa, w sposób konspiracyjny spotykali się ze swymi odpowiednikami z konku-

go w Stanach Zjednoczonych prawa, nie wolno konkurującym ze sobą firmom zawierać porozumień, mających na celu wspólne podniesienie cen, produkowanych przez nie towarów. Ponieważ wymienione firmy chciały takie podwyżki cen przeprowadzić, mu siły uciec się do konspiracji.

W rezultacie tych zakonspirowanych umów, w pewnych transakcjach doszło do podniesienia cen o 900 procent. Obliczono, że przez różne nielegalne praktyki, wielkie

Dalszy ciąg ze str. 1

Dlaczego na Dąbrowie, kiedy wszystko wskazuje, że ośrodek przemysłu elektrotechnicznego powinien powstać na Teofilowie, w pobliżu „Elty”?

Na Dąbrowie natomiast za „Strzeleckim” powinny lokować się fabryki metalowe. Odpowiedź leży w braku koordynacji, w fakcie istnienia wielu dysponentów procesu inwestycyjnego. Kiedy powstawała „Elta” nikt nie myślał o przebudowie „Elesteru” i „Elanu”. Tak więc przemysł metalowy i elektrotechniczny powstaje zarówno na Teofilowie i Dąbrowie. W okolicy ul. Brzezińskiej powstanie centrum przemysłu lekkiego.

W ubiegłym roku w fabrykach przemysłu maszynowego całego kraju było 51,8 proc. obrabiarek, których wiek nie przekroczył 10 lat, 31,7 proc. — które nie ukończyły 20 lat i 16,5 proc. maszyn mających przeszło 20 lat. Obrabiarek automatycznych i półautomatycznych było tylko 4,5 proc., a obrabiarek sterowanych programowo — 0,01 proc. W zakładach przemysłu maszynowego i elektrycznego Łodzi, jest 11,5 tys. maszyn w wieku od 10 do 20 lat, a połowa z tego poważnie zużyta i technicznie przestarzała. Najmłodsze i najnowocześniejsze maszyny ma „Elta”.

„Elta” nawiązała ścisły kontakt z Instytutem Elektroniki i posiada stację prób dla transformatorów. Laboratorium badawcze i stację pomiarową ma też „Elester”. I na tym koniec.

Fabryki przemysłu maszynowego i elektrotechnicznego odczuwają chroniczny brak konstruktorów. Rezultatem tego jest, że w 1965 roku planowano wprowadzić do produkcji 67 nowych wyrobów, a wprowadzono tylko 60, w 1966 roku planowano — 116, wprowadzono 113, w ubiegłym roku plan przewidywał wprowadzenie 128 nowych wyrobów. Ile wprowadzono? Historia milczy.

„Jednym z głównych zadań przyszłego planu 5-letniego — stwierdzają tezy KC PZPR na V Zjazd partii — powinno być zrealizowanie zapoczątkowanego w latach 1969-70 programu modernizacji i rekonstrukcji technicznej przemysłu, a zwłaszcza jego gałęzi, posiadających istotny udział w eksporcie, w których obecny poziom technologii i struktura parku maszynowego nie odpowiada wymogom nowoczesności oraz wysokiej jakości produkcji”.

W Łodzi nastąpi rekonstrukcja i modernizacja wszystkich dziedziny przemysłu. Tutaj problemu nowoczesności nie można traktować w oderwaniu. Unowocześnienie przemysłu lekkiego stworzy bowiem rezerwy siły roboczej dla przemysłu maszynowego i elektrotechnicznego. Unowocześnienie przemysłu maszynowego stworzy podstawę dla produkcji nowoczesnych i wydajnych maszyn włókienniczych.

Przedalnia polskiego przemysłu włókienniczego dysponują maszynami, z których 40 proc. ma więcej niż 20 lat. W tkalniach takich maszyn jest 61,4 proc., ale krocień automatycznych tylko jedna trzecia. W wykończalniach — 43 proc. maszyn ma więcej niż 20 lat. Większość z tych maszyn konstruowano z myślą o przerabianiu włókien naturalnych bądź sztucznych — pochodzenia celulozowego. Tymczasem włókiennictwo przeżywa inwazję włókien chemicznych — syntetycznych. W roku 1975 przemysł chemiczny dostarczy 65 proc. włókien potrzebnych włókiennictwu.

KONIEC WIELKIEJ IMPROWIZACJI

WSPÓLNIE SPRAWIE DLIWIE

Dalszy ciąg ze str. 1

czeka, choć niewątpliwie podsytkowane szczerą troską o właściwy kierunek oddziaływań partyjnego, były słuszne. Referat tow. Ciszewskiego w poważnej części poświęcony był sprawom wewnątrzpartyjnym; dokładnie określili stan organizacji: od stycznia 1964 roku przyjęto w „Feniksie” w szeregu PZPR 176 kandydatów i nastąpił wzrost organizacji, w ciągu ostatnich czterech i pół lat, o 30 procent. Jeśli chodzi o grupy partyjne, określone zostały w referacie mianem miniatury POP, których zadaniem jest zarówno współorganizowanie w zespole, jak i kierowanie sprawami partyjnymi. „Grupy partyjne omawiały prace kandydatów, opiniują przebieg kandydata na członka partii, organizują zebrania grup na temat, które są najbardziej aktualne dla organizacji czy zakładu, zajmują się sprawami międzyludzkimi, które są bardzo ważne w prawidłowej pracy organizacji i tworzeniu prawidłowej atmosfery”.

Referat poruszył również wiele drażliwych spraw organizacji: niedociągnięcia w pracy ideowo-wychowawczej, spowodowane w poważnej mierze brakiem aktywności, który by ukończył czy studiował na WUML, za niedbania w pracy nad młodzieżą, spowodowane w równej mierze niedopatrzeniem organizacji partyjnej, jak i anemicznym do niedawna działaniem ZMS. Nie zataił, że bardzo źle jest z placemiskami, że w ostatnim czasie skreślono z ewidencji partyjnej 23 towarzyszy, którzy nie byli w stanie lub nie chcieli przyjąć kierowanych do nich uwag.

Tak więc referat z powodzeniem wytrzymał zarzuty tow. Andrzejczaka, w którego wystąpieniu był jednak jeszcze jeden ciekawy moment: wyraził on przypuszczenie, że łódzka klasa robotnicza, tak bogata w tradycje i osiągnięcia, jest pokrzywdzona w porównaniu z takimi ośrodkami przemysłowymi, jak Śląsk czy Warszawa, i to zarówno jeśli chodzi o przydział miejsc w wagonach kolejowych w miesiącach urlopowych, jak i siłę ośrodków zaopatrzenia miasta, jak i wyposażenia go w dobra kulturalne. Powołał się na przykład Śląskiego Parku Kultury i Wypoczynku.

Do tej zarzutej, podsytkowanej szczerością wypowiedzi nawiązał w swoim wystąpieniu sekretarz KD PZPR — Zdzisław Wachowski. Sprawa upodlenia Łodzi pod względem komunikacji kolejowej nie jest zapewne urojeniem, choć trudno wykluczyć, że na Śląsku i w stolicy problem ten również jest nabrzmiały. Jeśli chodzi natomiast o Park Kultury i Wypoczynku, to zdaniem sekretarza Wachowskiego, wszyscy powinniśmy się zdobyć na odrębne samokrytycyzmu. Przecież Ślązacy nie dostali tego Parku w prezencie, nie został zbudowany w ciągu roku, a w ciągu dwudziestu długich lat, w dużej mierze dzięki znojnemu wysiłko-

wi, pracy społecznej śląskich ludzi. U nas, w Łodzi, też miał być budowany podobny park. I co? Uderzmy się w pierś. Był teren, usypano na nim kupę piachu, i na tym koniec. A przecież my wszyscy, łodzianie, powinniśmy zapaść za szpadle, udeptywać ziemię na tym placu.

3.

Zakłady „Feniks”, porzucane wzdłuż ulicy Nowotki, z filiami na Obrońców Stalingradu i Matejki, borykają się z wieloma trudnościami. Plan przewiduje, że w latach 1971—1975 zakłady zostaną wybudowane na nowo, nie jako od podstaw, w jednym obiekcie administracyjno-produkcyjnym, który umożliwiłby zakładowi prawdziwie socjalistyczne warunki pracy, zaspokoił jej potrzeby społeczne, umożliwił organizowanie zamkniętego, rytmicznego cyklu produkcji. Mimo jednak trudnych warunków w

reencji przedziałowej, mówił o tych sprawach pełnym głosem.

Tu także nie brakło kontrowersji: Tow. Wiacek, sekretarz POP, stwierdził na przykład, że wiele osób z kiepownictwa zakładów nie przywiązuje dostatecznej wagi do opinii szeregowych towarzyszy partyjnych w sprawach ekonomicznych, i wypowiedział się krytycznie o tzw. ciągach pneumatycznych.

Polemizował z tym stanowiskiem dyrektor przedsiębiorstwa, tow. Kolodziej. Jego zdaniem — ciągi pneumatyczne są w obecnej chwili gwarantem sprawnej produkcji, choć niewątpliwie pociągają za sobą poważne zmiany w organizacji pracy, modernizacji, przejścia na maszyny nowoczesne; a z przejściem ze starych maszyn na nowe wiąże się też konieczność zmiany psychiki ludzkiej. Zmiana psychiki nie jest zapewne czymś prostym, niemniej w ostatnich latach zdołało się przekwalifikować blisko 370 osób.



Z teki LTF.

Fot. Jacek Maroszek

okresie od IV Zjazdu PZPR (1964) do dnia dzisiejszego wiele w „Feniksie” zmieniło się na lepsze. Ot, na przykład, wycofano z ruchu 302 maszyny starego typu, instalując na ich miejsce 200 nowoczesnych maszyn z importu. Wraz ze starymi maszynami znikły artykuły nieatrakcyjne, nie znajdujące poppy na rynku i rozpoczęła się produkcja naprawde pięknych, gustownych efektownie opakowanych pończoch i rajstop.

Wartość wyrobów „Feniksa”, według cen zbytu, wzrosła z 936 milionów złotych w roku 1964, do 1.140 milionów obecnie. Poprawiła się o 12 procent średnia płaca, doszła do pożądanego natężenia rytmu produkcji, poprawiły się warunki BHP, na która to poprawie przeznaczono około półtora miliona złotych.

Jest jednakże w obecnym stanie produkcji wiele spraw bolesnych, nabrzmiałych, i dyskusja, która toczyła się na konfe-

Bardzo dynamiczne było wystąpienie tow. Hałaja z zakładu „D”, który mówił o drobnych na pozór sprawach, mających jednak niebagatelną rolę na wydajności i jakości produkcji. Poruszył kwestię czystych, wnikających z nie najlepszą kooperacją z innymi zakładami, usterek w maszynach: wylał manę zęby, zużyte, starte do maksimum łożyska do przecinania nitok, piłki doprowadzające nitki pod nożyk też nie nie warte... wszystko to waży w poważnym stopniu na wydajności pracy.

Do tych spraw nawiązał w rzeczowej, udokumentowanej wypowiedzi na temat przebudowy i modernizacji parku maszynowego, tow. Antoniewicz.

Jego zdaniem — przyczyna wielu usterek i awarii leży w słabej informacji technicznej w zakresie nowych wprowadzanych do

eksploatacji maszyn. Z tego powodu istnieją także trudności z zainstalowaniem tych maszyn; brak najprostszego choćby dokumentacji. Dochodzi tu również do paradoksu: najpręd otrzymujemy z eksportu nowoczesne maszyny, a dopiero później personel zakładów wyjeżdża za granicę uczyć się ich obsługi. To już zupełnie bez sensu, i takiego wyjazdu w żadnym wypadku nie można nazwać mianem delegacji służbowej, a po prostu wycieczką turystyczną.

O trudnościach w zakresie podjęcia zobowiązań dla uczczenia V Zjazdu partii mówiła tow. Piwowska z Zakładu „A”. Czym, jeśli nie czynem produkcyjnym, może na najlepiej uczcić Zjazd? Nie podjęliśmy jednak zobowiązania w naszym zakładzie. Ludzie są jak najbardziej za tezęmi, i bardzo chętnie udokumentowaliby to rzetelną robotą, ale, niestety, nie mamy pola do działania. A przecież, gdyby z zakładu „B” dano do naszego zakładu te leżące tam od dawna 120 tysięcy par nie wyczerowanych pończoch, moglibyśmy zobowiązać się wyczerować z tego jakieś 60 tysięcy. Byłoby to przecież konkretne zobowiązanie, i dołożylibyśmy starań, aby je w pełni zrealizować.

4.

Obok polityki i spraw związanych z produkcją bardzo często występowała w dyskusji sprawa młodzieży pracującej w zakładach. Jednym z dyskutantów był obecny przewodniczący Zarządu Zakładowego ZMS, tow. Budzisz. W organizacji tej jest dużo zaniedbań, które wynikły z indolencji poprzednich przewodniczących. ZMS powinien zająć się nie tylko swoimi członkami, ale również młodzieżą niezainicjowaną. Oddziaływać na nią ideologicznie na każdym kroku, przyciągając w miarę dojrzewania do organizacji.

W rozmowie z dziennikarzem tow. Budzisz podzielił się spostrzeżeniami ze swojej pracy politycznej. Otóż 80 procent członków ZMS w Zakładach „Feniks” stanowią młode kobiety meżatki, najczęściej także matki. Mają one liczne obowiązki w domu i praca z nimi nie jest łatwa. Stąd nasuwa się wniosek, że aby dobrze ukształtować młodego człowieka, przygotować go do pracy zawodowej, do odpowiedzialnej pracy politycznej w ZMS, a potem w szeregach PZPR, trzeba zaczynać już wtedy, gdy jest on jeszcze stażystą w zakładzie, niezmanierowanym, posiadającym dużo wolnego czasu do pracy.

— Dużym utrudnieniem dla ZMS — powiedział tow. Budzisz — jest brak odpowiedniej świetlicy w zakładach. Ta, w której odbywa się konferencja, też przecież nie duża, jest najłepsza, bo inne mieszczą się w barakach. Jeśli chodzi o Międzszakładowy Dom Włókniany przy ulicy Buczka, to też nie spełnia on moim zdaniem, postulatów właściwej pracy nad młodzieżą.

5.

Nie przemoczyliśmy wszystkich głosów w dyskusji, która odbyła się w „Feniksie”. Nie próbowaliśmy także rozstrzygnąć o ich słuszności, o tym, po czyjej stronie jest racja. Założeniem naszym było pokazać, jak wielkie jest zaangażowanie ludzi pracy we wszystkie, także, nieraz trudne i skomplikowane, procesy ekonomiczne, społeczne i polityczne, zachodzące w naszym kraju i na świecie, jak wielka jest ich troska o własny rozwój Polski, jak bardzo zgadzają się ich moralne postawy z teząmi na V Zjazd.

„Zasada ludowładztwa jest podstawą całego systemu politycznego w naszym państwie. Wszystkie władze, stanowiące prawa i je wykonujące, pochodzą z wyboru. Polityczne i społeczne organizacje ludzi pracy dysponują nieskrępowanymi możliwościami działalności i szerokimi wpływami”.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Przed przemysłem maszyn włókienniczych zadanie — przygotować nowoczesny park maszynowy odpowiadający nowoczesnym potrzebom. Musi to być park maszynowy zdolny do produkowania przędzy i tkanin, zarówno z włókien chemicznych, jak i naturalnych. Wykończalnictwo potrzeba nowoczesnych maszyn dla uszlachetniania tkanin.

* * *

Krosno wymaga całego zespołu maszyn, które przygotowałyby przędę do „brutalnego potraktowania”. Złagodzenie procesu tkania eliminuje maszyny towarzyszące. Tkanie staje się tańsze. Wszystkiemu winne czółenka. Precz z czółenkami! Czym je zastąpić? Musi to być coś lekkiego. Wynaleziono chwytak. Tak powstało krosno chwy takowe.

Czółenka w tradycyjnym krosnie, a takim jest polski saurer — krosno automatyczne produkowane na licencji szwajcarskiej firmy „Saurer” — waży pół kilograma. Chwytak w krosnie bezczółenkowym tylko 40 gramów, ale kropla wody w krosnie dyszowym — 0,5 grama. Wyeliminowanie czółenka pozwoliło zwiększyć szybkość tkania. Krosno saurerowskie produkowane przez „Wifamę” tka z szybkością 220 m wtku na minutę, krosno produkowane aktualnie przez „Saurera” — 485 m wtku na minutę. Krosno chwytakowe „Sulzera” lub radzieckie typu STD — 700 m, a krosno przemysłowe — będące jeszcze w stanie prób — osiąga zawrotną szybkość — od 1.000 do 1.800 m wtku na minutę.

Łódź pozostanie centrum przemysłu włókienniczego. Decyduje o tym skupienie zarówno ośrodków dyspozycyjnych poszczególnych gałęzi włókiennictwa, placówek naukowych i badawczych, a także central handlu zagranicznego zajmujących się sprzedażą wytworów włókienniczych. Tutaj powstał też ośrodek dyspozycyjny i twórcy przemysłu maszyn włókienniczych. W Łodzi jest „Wifama”, „Majed” i Centralne Biuro

Techniczne Przemysłu Maszyn Włókienniczych, w Zduńskiej Woli — „Fakroba”.

* * *

Łódzki przemysł maszynowy i elektrotechniczny odczuwa chronicznie brak konstruktorów. Odczuwa ich również przemysł budowy maszyn włókienniczych. W NRD np. na jeden rodzaj konstruowanej maszyny przypada przeciętnie trzech konstruktorów. W polskim przemyśle maszyn włókienniczych — 1,3 konstruktora.

W „Wifamie” 17 proc. maszyn nie ma jeszcze 5 lat, 25 proc. — 10 lat, 36 proc. — 15 lat, a 21 proc. — więcej niż 15 lat. Brakuje wysoko wydajnych i precyzyjnych obrabiarek. Nie ma stacji prób. Ani jeden zakład podległy Zjednoczeniu Przemysłu Maszyn Włókienniczych — „Polmatex” nie ma takiej stacji.

Poziom produkcji przemysłu maszyn włókienniczych jest sprawdzianem zdolności produkcyjnych całego przemysłu maszynowego. O nowoczesności wyrobów „Wifamy”, „Majedu” czy bielskiej „Befamy” decyduje nie ilość zużytej stali, ale sposób w jaki urzeczywistniono myśl konstruktorów, rezultat, jaki będzie można osiągnąć przy praktycznym zastosowaniu konstrukcji. O istniejącej w przemyśle maszyn włókienniczych sytuacji — pisała niedawno w „Życiu Gospodarczym” Barbara Wiśniewska — trudno się dziwić, że w ciągu wielu lat „Polmatexowi” nie udało się opracować jednej chociażby konstrukcji stanowiącej nowość w skali światowej.

„Polmatex” w programie rozwoju stwierdza, że „krosna automatyczne produkowane będą w dalszym ciągu do 1985 roku w różnych odmianach: chwytakowe, rapierowe, wieloprzesmykowe”. Tylko, że jeszcze dziś polskie krosno chwytakowe jest w fazie prac konstrukcyjnych. Pracują nad tym w CBT i w LEPB im. Obrońców Pokoju.

W Łodzi przemysł maszynowy i elektrotechniczny odczuwa chronicznie brak konstruktorów. W Łodzi konstruktorzy odcho-

dzą do pracy w... przemyśle lekkim. Nie ma wątpliwości, że zakładom włókienniczym są potrzebne biura konstrukcyjne. Tylko, czy obsadzenie etatów musi odbywać się kosztem innych gałęzi narodowej gospodarki? Brak koordynacji, czy konsultacja federacji przemysłu, kiedy ważny jest tylko fabryczny interes, kiedy niktogo nie obchodzi, co się dzieje u sąsiada?

* * *

Przemysł maszyn włókienniczych w hierarchii wydatków MPM znajduje się na samym końcu. W Łodzi jego sytuacja pogarsza nie najlepsze położenie pokrewnych gałęzi. W lipcu br. techniczny inspektor pracy ZO ZZ Metalowców wydał polecenie zamknięcia odlewni „Wifamy”. Natychmiast znalazły się długie oczekiwane pieniądze na modernizację, ale zaraz po wydaniu zezwolenia na tymczasowe uruchomienie odlewni, pieniądze... zniknęły. Rejonowa odlewnia też pozostaje w sferze dalekich planów. I to od lat.

Przemysł lekki to nie tylko włókiennictwo. W Polsce nie produkuje się maszyn dziewiarskich, pończosznicy, dla przemysłu odzieżowego, skórzanego, galanterijnego. Być może przemysł maszyn włókienniczych, znając swoje możliwości produkcyjne postanowił skoncentrować się wyłącznie na zaspokojeniu potrzeb włókiennictwa?

„Polmatex” do końca pięciolatki zaspokoi maszynowe potrzeby MPL tylko w jednej czwartej, a w latach następnej pięciolatki osiągnie pułap 30 proc. Między innymi przemysł maszyn włókienniczych dostarczy w bieżącej pięciolatce jedną czwartą niezbędnych włókiennictwu maszyn wykończalnych.

Nie bez winy jest przemysł lekki. Bilans mocy i potrzeb wspólnie z MPM sporządzono dopiero w ubiegłym roku. Nadal jednak szereg pozycji budzi poważne obawy. Np. według danych poszczególnych zjednoczeń przemysłu lekkiego w latach 1971—1975 przemysł maszyn włókienniczych powinien dostarczyć 6,8 tysięcy saurerów. Zdaniem MPL — nie będzie ich potrzeba w ogóle. Mam jednak poważne obawy, czy do tej pory będzie gotowe krosno chwytakowe?

* * *

Miasto trzecie się o prawidłowy rozwój swojej gospodarki. Egzekutywa KL PZPR przeanalizowała programy modernizacji i rekonstrukcji poszczególnych gałęzi przemysłu. Stworzono klimat dla rozwoju wszelkich inicjatyw. Miasto pojęło, że jego los związany jest z nowoczesnymi dziedzinami przemysłu, że od ich rozwoju zależy dalszy żywot przemysłu lekkiego. Dyspocieni funduszy inwestycyjnych mają różne względy na uwadze, a idea koordynacji tak wysoko jeszcze nie dotarła. Trudno więc w tych warunkach o optymizm. Jedno powinno radować. Bezwzględnie skończył się okres wielkiej improwizacji. Przemiarki, konfrontacja możliwości i potrzeb dowiodła, że obracamy się już w świecie konkretów, że coraz bardziej zdajemy sobie sprawę, gdzie koldry nie staje i co robić, aby przykryć to, co najbardziej przykrycia wymaga. Nielatwa to sprawa, wiele jeszcze trzeba zmienić i ulepszyć. Niepokój, że robimy źle, że jeszcze nie tak szybko, że daleko odstałimy dowodzą realizm i ocenę. Realizm powinien przyczynić się do tego, aby znikła ospałość, nieudolność i samozadowolenie, a razem z nią ludzie, którzy nie dorosli do współczesności.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Jak pisać dla telewizji

Jesteśmy świadkami dynamiki rozwoju kultury muzycznej w Łodzi...

Okres powojenny przynosił na szczeblu miasta obrzędy zmiany w dziedzinie kultury...

Państwowa Filharmonia - to instytucja, której działalność ma wielkie znaczenie dla życia muzycznego Łodzi...

Teatr Wielki wystartował bardzo dynamicznie dobrymi premierami inaugurującymi otwarcie nowego gmachu...

Teatr Muzyczny - najstarsza scena operetkowa w Polsce poszukuje nowego modelu artystycznego...

zycznym Łodzi, które z powodzeniem może spełnić. Szkolnictwo muzyczne w Łodzi w okresie powojennym przeżyło obrzędy zmiany...

Przed szkołami muzycznymi stanęło poważne zadanie dostarczenia kadr dla rozwijających się instytucji muzycznych...

(Patrz artykuł prof. T. Kieśwetera „Odgłosy” Nr 36 z s. IX, 1988 r.)...

Zestawiając zakres działania instytucji można stwierdzić, że kultura muzyczna w Łodzi posiadała wiodący potencjał...

Czy trzeba muzykę upowszechniać? Czy nie wystarczy działalność licznych zawodowych instytucji muzycznych...

nie jest czynne uprawianie muzyki - umiejętność gry na jakimś instrumencie...

Upowszechnienie muzyki jest dziś problemem szczególnie ważnym, gdyż w okresie międzywojennym popełniono poważne błędy...

W sytuacji kiedy Łódź posiadała dobre warunki dla rozwoju kultury muzycznej...

Range artystyczna miasta wyznacza oprócz działalności instytucji i organizacji ilość i zasięg imprez odbywających się na jego terenie...

W planach rozwoju muzycznego Łodzi wiele miejsca winno się poświęcić amatorskiemu ruchowi muzycznemu...

Stworzenie bodźców do powstania takiego repertuaru wykorzystanie tego jako okazji włączenia w treść utworów...

Porównując bujny rozwój kultury muzycznej Łodzi ze skromną jej węgietacją...

ANDRZEJ HUNDZIAK

Leży obok przede mną wydana w Nowym Jorku książeczka pod nazwą „How to write for Television”...

Tymczasem rzecz nie jest taka prosta. Dowodem tego jest opieszałość, z jaką rozwija się oryginalna dramaturgia telewizyjna...

Od stosunkowo niedawna jesteśmy świadkami rodzenia się oryginalnej polskiej dramaturgii telewizyjnej...

Może ktoś spytać, jaka to właściwie dobra, to i adaptacje jej obce sąsiadki...

Odpowiedzi na pytanie: jak pisać dla telewizji? każdy z autorów telewizyjnych musi szukać w pojedynkę...

Należałoby życzyć zarówno telewizji jak i telewizjom, by za interesowanie dramaturgią TV zaczęły szeregować się wśród pisarzy jak epidemia...

Na tym fundamencie można dopiero budować doświadczenia własne. Autor, pisząc tekst dla telewizyjnej, a więc przede wszystkim dialogi...

Ale adaptacje nie określają dynamiki widowiska, montażu kadrów, ruchu kamer, panoram, zbliżeń i nalażków...

Nie byłoby celowe, gdyby era matury telewizyjnej zastąpił reżysera i twórcy scenopisu...

Ostatnie lata przyniosły szereg dowodów na to, że dramatyzacja coraz bliżej interesują się formą telewizyjną...

Należałoby życzyć również telewizji jak i telewizjom, by za interesowanie dramaturgią TV zaczęły szeregować się wśród pisarzy...

Władysław Orłowski

Dyskusja przed WZJAZDEM

Problemy muzyczne Łodzi

Refleksje i propozycje

nieje duże zapotrzebowanie na wysoko kwalifikowanych muzyków dla rozwijających się instytucji muzycznych Łodzi...

Łódź międzywojenna, nie dysponująca salami koncertowymi, odpowiedzialni lokalami...

napierw, co rozumiemy przez upowszechnianie muzyki? Upowszechnianie muzyki - to stworzenie odpowiednich warunków i stosowanie różnorodnych form...

Szkoły muzyczne czy ogniska kształtujące tych, którzy mają specjalne uzdolnienia muzyczne. Na koncerty symfoniczne czy przedstawienia operowe...

Architektura wnętrza, bogate zbiory oraz dowody myśli naukowej i artystycznej ukryte w murach Ratusza...

Tropami historii szedł reżyser St. Grabowski realizując film pt. „Stanisław Janicki”...

Te krótkie relacje z wybranych tylko filmów pragnę zakończyć informacją, iż do dość znacznej listy filmów przedstawiających sylwetki polskich...

EWA NURCZYŃSKA

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Dobra tradycja Wytwórn Filmów Oswiatowych stała się pokazy nowości filmowych prezentowanych dziennikarzom...

Bardzo wiele uwagi poświęcają pracownicy WFO problemowi filmów szkolnych. Trochę o jakości tych filmów powodowana jest świadomością...

filmy, które określić możemy mianem aktualności politycznych, mianem filmów zaangażowanych...

Przedstawiony wyżej zakres prac WFO w znacznej mierze prezentowany był w ostatnim przeglądzie nowości filmowych tej Wytwórni...

Dobre tradycje filmów z kregu sztuki reprezentują w ostatnim zestawie WFO dwa filmy: „Motet na Ratusz Toruński”...

Z. Bochenek tworząc swój filmowy „Motet”, opowiedział o Ratuszu Toruńskim znalazł idealny niemal klucz dla współzgrania obrazu i muzyki...

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

artystów dopisać można film, którego bohaterem jest Jarosław Iwaszkiewicz. Sylwetkę wielkiego pisarza i poety przedstawił reżyser Grabowski...

Kończąc tę trochę nietypową dla nasz rubryki „O filmie dobrze i źle” relacje z wrażeń filmowych ostatniego tygodnia...

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



NOWY „SPARTAKUS”



Ponad dziesięć lat temu Aram Chaczaturian napisał muzykę do baletu „Spartakus”. Od tego czasu moskiewski Teatr Wielki dwa razy wystawiał balet o słynnym wodzu powstania niewolników starożytnego Rzymu, ale w obu przypadkach spektakle nie utrzymały się długo w repertuarze teatru. Dopiero na wiosnę tego roku trzecia premiera „Spartakusa”, tym razem w opracowaniu słynnego baletmistrza Jurija Gregorowicza o-

siągnęła prawdziwy sukces. Znakomita muzyka Chaczaturiana zabrzmiała z nową świeżością i dramatyzmem.

O nowym wystawieniu „Spartakusa” czytamy w radzieckim magazynie „Spatnik”.

Temat jak wiadomo jest zaczerpnięty z odległej epoki. Spartakus żył w latach 70-tych n.e. Oczywiście balet nie ma pretensji do oddania ścisłości historycznej postaci i zdarzeń.

Jurij Gregorowicz stworzył choreograficzną kompozycję przepracowując starannie libretto

KSIAŻKA O WIELKIM ODKRYWCY

Najchętniej poznajemy osiągnięcia wybitnych naukowców przez opracowania popularne, uproszczone. Nie mogą one jednak zastąpić bezpośredniego kontaktu z myślą uczonego. Takie to powody natchnęły profesora Pasteura Valery-Radot do wydania książki poświęconej pamięci jego dziadka, wielkiego uczonego. Louis Pasteur (1822 — 1895) sławny bakterjolog i chemik francuski dokonał epokowych odkryć z dziedziny fermentacji, odporności organizmów na zakażenia, wynalazł szczenionkę przeciw wściekliźnie, zburzył wiele przesądów.

Książka profesora Pasteura Valery-Radot wyszła w paryskim wy-

dawnieście Hachette pod tytułem: „Pages illustres de Pasteur”. Znalazły się w niej m. in. teksty uczonego oraz kilka niepublikowanych dotąd jego listów. I jedno i drugie pozwala na zorientowanie się w atmosferze politycznej i moralnej czasów w których żył wielki uczy-

Dziś postać wielkiego Pasteura jawi się nam pomnikowo. Inaczej jednak widzieli go współcześni. Prace Pasteura spotykały się z niedowierzaniem lub zwykłą zawiścią. Uczony za wszelką cenę musiał się dzielnie bronić. Na szczęście Louis Pasteur posiadał nie tylko talenty uczonego ale i łatwość słowa i dar ciętego publicysty. Toteż teksty, w których bronił swych odkryć i osiągnięć naukowych, nie mają w sobie nic z chłodu i spokoju naukowca. Pasteur był świetnym publicystą, który musiał walczyć,



Louis Pasteur

aby przekonać i zwyciężyć. I to właśnie sprawia, że dla dzisiejszego czytelnika pisma Pasteura, mimo że powstały ponad sto lat temu są wciąż pasjonujące.

MUZEUM VAN GOGHA W AMSTERDAMIE

Amsterdam przygotowuje się do otwarcia wielkiego muzeum Van

Gogha w nowoczesnym trzypiętrowym, specjalnie na to przeznaczonym gmachu. W budynku tym urządzona zostanie stała wystawa stu pięćdziesięciu obrazów wielkiego malarza i 400 jego rysunków. Prócz tego w muzeum znajdzie się 50 dzieł innych wybitnych malarzy jak Gauguin, Emile Bernard i Monticelli. Specjalny dział stanowić będzie pomieszczenie dla korespondencji wielkiego malarza liczącej sześćset listów oraz biblioteki składającej się z dwóch tysięcy książek traktujących o życiu i twórczości Van Gogha. Przewidziane są sale na wystawy okresowe malarstwa, sala kinowa i oryginalna innowacja — otwarcie specjalnego atelier malarzy dla zwiedzających. W pracowni tej będą mogli próbować swych sił w rysunku i malarstwie ci, których twórczość Van Gogha w jego muzeum, zachęci do malarstwa.

WIKTOR HUGO — REPORTEREM

„Je dirai tout” (Powieć wszystko) — to tytuł książki, jaką ukazała niedawno w kolekcji „Histoire verite” wydawnictwa Dargaud. Książka jest zbiorem rozproszonych dotąd tekstów Viktora Hugo, zebranych przez Jo Gerarda pod specjalnym auspicjum. Bismarckiem autor tego opracowania pomógł w tym celu wielkiemu pisarza, które ma już jedną zasadniczą cechę, a mianowicie są rodzajem artykułów publicystycznych, reportaży lub czasem pamfletów, w których wybitny wybitny człowiek kulturalny czy polityczny jak Talleyrand, Balzac, Chateaubriand, Napoleon III. Czasem są to bezpośrednie opisy, (jak to dziś byśmy określili) reportaże z dni rewolucji czerwcowej 1848 roku.

Wszystkie teksty pomieszczone w książce „Powieć wszystko” odnoszą się do aktualnych czasów, w których żył wielki pisarz, reprezentując jego opinie wobec wydarzeń, w których brał udział lub których był świadkiem. Jo Ge-



Wiktor Hugo

rad podkreśla przy tym swoistą cechę Viktora Hugo jako publicysty i dziennikarza. „Jedną nogą — jak się wyraża Gerard — tkwił on w starych układach, a drugą w wieku XX”. Wiktor Hugo „ściśnął rękę stangreta Ludwika XVI i rękę przyszłego pilota samolotu Bregueta.”

LUDMILLA TCHERINA W ROLI SALOME

Pierre Koralnik nakręcił dla telewizji francuskiej film „Salome” według dzieła Oscara Wilde'a. Główną rolę gra znana tancerka Ludmilla Tcherina. Choreografię opracował jeden z najwybitniejszych twórców w tej dziedzinie Jean Burt.

MUZEUM PAUL CLAUDELA

W Villeneuve-sur-Fere, domu rodzinnym Paula Claudela otwarto ostatnio muzeum jego imienia. Dom został odrestaurowany, a w jednej z sal towarzystwo przyjaciół pisarza urządziło stałą wystawę pamiątek po poecie oraz rzeźb siostry pisarza, Kamilli Claudel.

Bez strachu

DYM

Przed laty miałem niedobrego sąsiada — nie pamiętam już jak się nazywał, jak wyglądał — mieszkał w tym samym ce jałdionie — raz nade mną, raz pod moją, ale czy mieszkał wyżej, czy niżej, zawsze był złym sąsiadem. On to rozpaliał ogień w swoim piecu tak, że czad przedostawał się do mojego pokoju. On to stukiał lupiąc węgiel w podłogę, tak, że u mnie pękały ścianki. On to zalewał podłogę wodą tak, że przelatywała przez mój sufit. On to stukał szcztoką w sufit, kiedy przy gymnastyce podskakiwałem w pantoflach po dywanie. On to łomotał po nocy do moich drzwi i pijany prosił o pożyczenie pięćdziesięciu złotych. On to obmawiał mnie, twierdząc, że jestem nędzarzem, bądź bogaczem o podejrzanych źródłach dochodu. On to bił własną żonę i dzieci, także własne psy, tak, że nie mogłem znieść krzyku dręczonych istot, w tym samym czasie opowiadał wszystkim, którzy chcieli go słuchać, że jestem okrutnikiem. On to zapewniał mnie, ikając o swej niezmienniej przyjaźni i jednocześnie oczekiwał mojej śmierci, pragnąc zagarnąć po mnie mieszkanie. On to podsuł mihiwał pod moimi drzwiami. On to rozsypywał wilgotne pestki sliwek i brzośki, kwił pragnąc, bym polamał nogi na schodach. On to pożywał ode mnie dziesięćdziesiątówkę, kłębki sznurka od bielizny, wiązki drzewa, sół i nigdy nie oddawał głosząc, że to ja jestem u niego zapożyczony. On to przychodził do mnie pijany w nocy, przerywał mi wypoczynek, siadał na krześle i wołał: „Tak, wiem, że jestem nędznikiem przepijam pieniądze przeznaczone na utrzymanie dzieci, biję moją dobrą żonę, kopię mego wiernego przyjaciela psa, przez szkoldliwe halasy nocne męczę Pana i oto teraz przerywam Panu wypoczynek — jestem złym człowiekiem, przepijam pieniądze i halasiłwym męciem, złym właścicielem psa. Niech Pan spojrz na moją pijaną, złą żonę — to ja oszczerco obwiniam Pana o wszystkie swoje winy — mówiąc o Panu daję po prostu charakterystykę swej osoby. Niech Pan mnie teraz skrzyżuje, niech Pan mnie uderzy — na co Pan czeka? Czy pozwoli Pan jeszcze, bym Panu zepsuł resztę nocy? Dodam jeszcze, że to ja skłonim zdana, zacnego człowieka, aby poszerzając moje paleństwo zabiłował Pana wyłoty, to ja... słyszy Pan, ja...! Dlaczego Pan milczy?”

Posłałem swego sąsiada do domu. Jest zimno. Rozpalam ogień w piecu — początkowo dym i żar bucha na mieszkanie, wreszcie rozpala się i nagrzewa. Jest już ranek i wychodząc z domu zadzieram głowę — z obrzydnego komina bucha dym. Jest to wielki komin, wspólny dla mnie i dla mego sąsiada, i dym jest także wspólny dla sąsiada i dla mnie. Tak jest codziennie, ale pewnego dnia zatrzymuje mnie sąsiadka z sąsiedniej oficyny. „Panowie to mają dobrze — powiada — dobrze pali się u was w piecach, to widać jak ten dym z waszych pieców bije intensywnie w górę”. Raz jeszcze zadzieram głowę, i tym razem dym wali do mnie potężnym słupem — dym z obu pieców — nasz wspólny dym.

BERNARD SZTAJNERT

Notatnik KULTURALNY

Poniedziałek

Zmarł Kazimierz Pawlak — człowiek, którego nazwisko na stałe związane jest z hasłem „Czytaj”. Zmarł najstarszy łódzki księgarz i wydawca, którego serie wydawnicze popularyzujące wszystkie niemal dziedziny wiedzy do dziś można znaleźć na półkach w starych łódzkich domach. Księgarnia „Czytaj” — to piękny fragment dzieł łódzkiej kultury, nie opisany jeszcze przez nikogo. Ostatecznie lata życia Kazimierza Pawlaka spędził wśród swych ukochanych książek w maleńkim antykwiariacie przy ul. Narutowicza. Można tu było znaleźć nie lada rarytas, ale przede wszystkim znajdowało się tu uroczą, niepowtarzalną atmosferę, jakiej nie ma i nigdy nie będzie w nowoczesnych księgarskich supersamach. Niepostrzeżenie minęło dwa lata temu półwiecze firmy „Czytaj” założonej przez Kazimierza Pawlaka w 1916 roku. I śmierć zabrała starego księgarza cicho i niepostrzeżenie. Ale Kazimierz Pawlak i jego firma są niewzruszonym faktem w kulturze Łodzi i kiedyś historycy upomni się o ten fakt, aby ocalić od zapomnienia.

Wtorek

Dekoracje filmowe mają dla mnie zawsze coś z surrealizmu. Budowa tych dekoracji to już istny Salvatore Dali.

Obejrzałem sobie pod Aleksandrowem plac bu dowy gdzie wznosi się berlińska Brama Brandenburska i kawałek berlińskiej ulicy. Wszy stko to naturalnej wielkości — do filmu Pasendorfera „Kierunek Berlin”. Elewacja secesyjnej kamienicy zacy na raptem falować — powiał wiatr i papier się odkleja. Potężne marmurowe bloki kolumny bierze pod pachy młodziutki robotnik w kufajce i niesie przez plac. Sa z gipsu i w środku puste. Oczywiście cięka wieńcowa wygląda w filmie historycznym — to skojarzenie kufajki z nancerzem, ale i ten naturalnej wielkości Berlin na polu pod lasem też robi wrażenie. Opo dal pasa sie krowy, zza kolumn Bramy Brandenburskiej widać jadaca polem chłopską furkę... Film, który w tej scenarii powstał, to już historia, ale odtworzona właśnie w imię jesiennego spokoju tych pól...

Środa

Radzieckie „polonica”. A jednocześnie „łodzianina”. W najnowszym ósmym numerze radzieckiego miesięcznika „Tietatr” znalazłem duży artykuł o polskich teatrach a m.in. sporo po chlebnych uwag pod adresem Teatru im. Jaracza. Wysoko cenią konania tej sceny radzieccy przyjaciele i wydają mi się, że fakt ten należy z dumą odnotować. Ale to nie koniec „poloników”. Moskiewskie wydawnictwo „I-

skustwo” (Sztuka) wysuściło na rynek książeczkę pt. „Humor przyjaćiół”. Nakład — Bożeć ty mój — 100 tysięcy! A w książeczce wśród autorów z różnych krajów spotykam nazwiska Jana Koprowskiego i Edwarda Kopczyńskiego. Łodzianie — gdzie nas nie ma!

Czwartek

Życie jest źródłem ciętych zaskoczeń. Nie dawno pisałem „kogoż dzisiaj interesują organy poza organistami”. Lyso mi teraz. Na koncertach Dni Muzyki Organowej — tło a na dodatek przeważa tu młodzież. Tak jest, młodzież i to nastoletnia, która szabo nowo wykłiśmy raczej umieszczać na koncertach „big-beatowy”. I ta właśnie młodzież słucha w skupieniu jak z organów płyną tony bachowskich preludium chorałowych, jak brzmią sony ty Reubke'go, toccaty Muffata, cantabile Francka... Wierzyć się nie chce, a jednak to prawda. Ale też Dni Muzyki Organowej przygotowano w Łodzi naprawdę starannie i godnie. W repertuarze obok tużów światowej muzyki — Bacha, Brahmsa, Telemanna — znalazły się utwory polskich kompozytorów Piotra Zalecho wskiego i Andrzeja Rohaczewskiego, o których kiedyś współczesni zapomnieli. Ich utwory odnaleziono w starych archiwach i dziś świat mu zyczyni się nimi zachwyca. Kim byli, jak wyglądali — nikt nie wie. Pozostała tylko ich do stojna muzyka, której w skupieniu słuchają nastolatki w mini-sukienkach.

Piątek

Dwadzieścia lat Teatru Lalek „Arlekin”.

To znaczy, że ośmiolatki, które oklaskiwały w 1948 pierwsze spektakle tego teatru, dziś zbliżają się do trzydziści stki. Na widowie „Arlekin” weszło już drugie pokolenie widzów. Tak więc nowy sezon bajkowego teatru rozpoczął się pod znakiem jubileuszu. Ale nie o galwólkę i jubileuszowe fety teatrowi chodzi. Jak mi pisał dyrektor, Regina Błkanowa, mówiła na spotkaniach Teatru z widzami chodzi o „zapoznanie widza z różnorodnymi zagadnieniami z zakresu lalkarstwa, które poparte scenkami prezentowanymi przez aktorów dadzą uczestnikom spotkania możliwość zapoznania się z pięknym zawodem aktora-lalkarza. „Takich spotkań odbędzie się wiele — będą one łączone z wystawą plakatu PTL — „Arlekin”. Myślę, że jubileusz obchodzony w podobny, czynny artystyczny i poznawczo ciekawy sposób, jest u nas raczej ewenementem.

Sobota

Patriotyzm lokalny — rzecz godna pochwały. Z tych pokładów umiłowania własnego miejsca na ziemi rodziło się wiele mądrych i potrzebnych inicjatyw. Z tej głębi wyrosło w Wieluniu dzieło uporow i wysiłkowi Tadeusza Olejnika Muzeum Ziemi Wieluńskiej, z tej głębi kielkuje dziś załazek przyszłego Muzeum w Brzeziniach. Dzisiaj już w tym mieście Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Ziemi Brzezińskiej i można mieć nadzieję, że jeśli jest takie Towarzystwo — będzie wkrótce i Muzeum. Kompletuje się na razie ekspozycję — przedmioty kultury materialnej tego regionu — sierpy, niecki i

dziele do ciasta, stylowe meble co się ostały po dworach dawnej szlachty... Wartość tego silva rerum jest rozmaita, ale z czasem przyśle Muzeum dorobi się na pewno niebanalnego kompletu eksponatów. A swoją drogą nie zawsze chyba zdajemy sobie sprawę ile głębokiego patriotyzmu i ukochania tej ziemi tkwi w tego rodzaju prowinicznych inicjatywach. Dla takich poczynań planów i zamierzeń powini no się palić nieustające zielone światło.

Niedziela

Dzień tradycyjnie przeznaczony na lekturę czy sopsim, ale tym razem zabawiłem się w buchaltera. Leży przede mną sterta gazet — „Kultura”, „Życie Literackie”, „Przekrój”, „Dokoła Świata”, „Forum”, „Świat”, „Tygodnik Kulturalny”, „Polityka” oraz niedzielnego wydania „Trybuny Ludu”. „Życie Warszawy” i „Dziennik Łódzki”. Policzylem — razem blisko 150 stron druku. W „Przekroju” wszystko to ładnie polczyli — „czyta się 8 minut” lub „czyta się 3 minuty”. Ale np. „Forum” czyta się dłużej niż „Przekrój” — przylałem więc średnia 15 minut na stronę. Z nieubtecanego rachunku wynikało, że na lekturę mam poświęcić... około trzydziestu ośmiu godzin. Niedziele nie starczyli! A gdzie czas na telewizję, na radio... Absolutnie „nie wvrobie” z tą lekturą. Wiecej no prostu zrezygnowałem. Wniosek stał plynąć bardzo prosty — nie bawmy się w zbędne docieklawe analizy, bo mo żemy się zupełnie ogłu pić.

JERZY WIDOK

KLUB nieudaczników

Nieudacznicy — grupa młodzieży, której się w życiu nie udało, nie powiodło. Właściwie bardziej oni się nie udali niż im się nie powiodło. Bierni, obojętni, skwaszeni, żyją na bocznych torze zdarzeń i mają za złe. Jak stare ciotki. Łódź nie wydała swoich bananowców, nie to miasto, nie ta gleba. Ale nieudaczników ma wielu. Nieostrzeżeni dotychczas nawet w najżarliwszych rozprawach o młodzieży, ani zbyt ekstrawaganccy, ani zbyt atrakcyjni, po prostu żadni, nijacy, najwyżej żaloni.

Dziwnym trafem, chyba na zasadzie instynktu zbierają się w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki. Wyparli stamtąd emerytów, poetów, artystów. Sami teraz udają emerytów, poetów, artystów. I artystki. Słyszeli, że to modne. Słyszeli, że w tym Klubie nie wypada być zwykłą ekspedientką, buchalterem, nie mówiąc już o robotniku. Wypada być panem profesorem, panem redaktorem, malarzem, muzykiem, a w najgorszym razie choć homoseksualistą lub dziewczyną lekkich obyczajów. Wszyscy tutaj udają. Każdy się pod kogoś podszyciwa. Bezinteresownie. Łatwiej bowiem udawać kogoś niż być sobą. Łatwiej być kimś niż czymś. Siedzą całymimi godzinami, dniami i latami, narzekając na swój smutny los. Nikt ich nie chce i nikt ich nie rozumie. A oni rozumieją?

Siedzi obok starzec farbowany, podający się za malarza. Cap w karesach do ślicznej dziewczyny, podającej się za przyzwoitą dziewczynę. Czy jak anioł, reszta ciała kucharki, jakby napisał o niej Józef Ignacy-Kraszewski albo Jerzy Walencyk.

— Pan kogo reprezentuje? — zwraca się do mnie starzec farbowany.

Zwyczajnie, siebie samego. Jest wyraźnie niezadowolony, może obrażony. Przypomniał mi się w tym miejscu inna rozmowa.

— Czy pan wie co to jest surrealizm? — zwrócił się do mnie niegdys pewien jegoś w tym Klubie.

— Nie — odrzekłem. Ale wtem natomiast co to jest sublektor.

Jegoś odwrócił się plecami, rozmowy nie było. Najwyraźniej obniżył jej poziom. Piękne w ogóle odbywają się tutaj pseudointelektualne konwersacje kawiarniane-krzyżówkowych intelektualistów i intelektualistek.

— Wstrząsające wrażenie uczyniła na mnie ta Ika —

wola odkrywczo dziewczę o najbardziej tępnym wyrazie twarzy na świecie.

— Jaka Ika? — ktoś zapytuje.

— No ta warszawska.

Ika — Nike, to dla niej wszystko jedno.

Od czasu kiedy kierownikiem Klubu został oficer rezerwy, placówka ta nabrała charakteru raczej koszarowego. Zniknęły wygodne fotele, pojawiły się twarde, rzetelne krzesła i wywieszka: „Wstęp tylko dla posiadaczy kart”. Oczywiście jest to bzdura i nikt tego nie respektuje, łącznie z kierownictwem. Klub jest przecież instytucją kultu ralną powszechnego użytku. Co innego, że choć mieści się w centrum miasta jest i tak siedzibą dla peryferyjnych ludzi.

Ci, którzy tu przebywają to nie goście i nie klienci. Nazywają siebie bywalcami. Wyda im się, że przez zasiedzenie nabyli jakichś wyjątkowych praw. Udają ważnych i poważnych, faktycznie są śmieszni i żaloni, tragicznie śmieszni. Oto osobnik podający się za emerytowanego nauki człowieka w rzeczywistości jest zdunem. Inny z kolei uchodzi za dramaturga, pisze rzekomo do szflady. Narzeka, że tępią go w redakcjach, niszcza w teatrach, rozszalała cenzura knebli mu usta, śledzą go cicho-ciemi. Kłasyk przyrządek schizofrenii w stanie reaktywnym. W grucie rzeczy obibok i leń, którego utrzymuje chora matka, rencistka.

Ważna figura Klubu jest profesor Akademii Medycznej. Kordialny, protekcyjny, duży człek. Zawsze w gronie młodych dziewcząt, słuchających pobożnie jego starych dowcipów. Ale potrafi również i na poważnie. Właśnie jest w przededniu wielkiego odkrycia naukowego. Kim jest naprawdę? Powiem. Autentycznym woznym na Akademii Medycznej.

Jedną z panienek ma opracowaną w szczegółach całą bio-

grafię. Udratyzowaną. Była niegdys znakomita śpiewaczką. Występowała w Moskwie, w Paryżu, Tokio, publiczność za nią szalała, drogocne futra, toalety, klejnoty, mnóstwo wielbicieli, przyjęcia, party, bankiety. Pewnego razu występowała w Mediolanie. Od rzęsiwych braw runęła dekoracja na scenie, artystka została ugodzona w pierś, straciła głos, zbladła jej gwiazda, poszła w zapomnienie. Wzruszające — prawda? Wyraźny wpływ starych romansideł. Wielkiej artystce kłania się Dotęga-Mostowicz. I Mniszkówna.

Co najdziwniejsze — ta dziewczyna wierzy w to co mówi. I jej wszyscy wierzą. Chęć wierzyć, wygodniej wierzyć, przyjemniej obcować przecież z eksprimadonna niż z kontystką zatrudnioną w MZBM. Już niejeden zupełnie poważny człowiek dał się na brać na tę ekliwą opowieść i zafundował artystce obiad, częściej kolację. A może udawał, że wierzy. Miał w tym swój cel.

Coś w tym przecież jest. Niespełnione nadzieje, chorobliwe ambicje, niezrealizowane aspiracje, żłudne marzenia. W sumie wpływ przedwiejnej brukowej literatury i ogólna niemówność. Gombrowi czowska.

Byłował niegdys po Klubie gentleman-złodziej. Student usunięty z III roku filologii UMCS w Lublinie. Chłopiec na der sympatyczny, miły, uczyn-

ny i śmiertelnie zakochany. Ona również notoryczna bywalczyni. Oboje ogólnie lubią ni. O ich miłości klubowi grafomani i Dobrze Zapowiadający się Poeci wiersze podzili. Finał okazał się tragiczny. Chłopiec poszedł do więzienia, dziewczynę rodzice z domu wygnali. Bo chłopiec zwyczajnie bliźnich okradał. Ale nie dlatego, że był jednostką zdeprawowaną i wykolejoną. Okradał bogatych i rozdawał biednym, oczywiście w własnym mniemaniu. Istny Rinaldo-Rinaldini ze śródmieścia Łodzi. Romantyczny złodziej. Sąd potraktował go serio. Tymczasem chłopcu potrzebny był może raczej psychiatra lub psycholog, niż jurysta. Ja ki tam z niego przestępca. Zwyczajnie, chory człowiek. Trochę kleptomani, trochę lekomyślny, bardzo wrażliwy, chciał zaimponować ukochoanej. Nie te czasy.

Bywałcom Klubu wydaje się, iż są nowoczesni, że reprezentują młodzież wiodącą obyczajowo i erotycznie. W gruncie rzeczy pozerscy, snobistyczni, ich nowoczesność ma wymiar krawiecko-fryzjerski. W swym rozkołysaniu seksualnym są wulgarnie kołtuńscy, wcielają się w modele starych powieściści i nowoczesnych filmów. Jakaś nadwiślańska alotropowa odmiana dzieci-kwiatów, dzieci-ptaków. Błękitnych. Farbowanych. Dzieci często zgrzywają się na rozwście prostytutki lub artystki. Chłopcy pozują na zdeklarowaną przestępców lub zapoznanych geniuszy. Fajzywe mo-

nety w obiegu. Nie potrafią być nikim i niczym. Do tego trzeba charakteru. Są nieautentyczni w postawie, w czynach, w moralności. Zera opi nające kawiarniane stoliki. Atrapy.

Jeden podaje się za Artura... Miedzyrzeckiego, czasem za Sandaera. Drugi pozuje na Księcia Myszkina, trzeci na Małego Księcia. Bardzo małego. Jakiś redaktor wyrządził mu ogromną krzywdę. Wydrukował gdzieś kiedyś jego wiersz. Okaleczył tym młodego człowieka na całe życie. Ten chłopak już nigdy nie weźmie się do uczciwej pracy, został twórcą, poetą, artystą, który z kuflem piwa toczy się po pochylm-pijalni w bezdennej przepaści nieróbstwa i wegetacji. Talentu nie stało tudzież chęci do nauki. Samowiedza nie wywyższa. Siedzi w Klubie i marnieje, szron już włosy pokrył. Rozgorczyony, rozczulony, nienawistny. Wątpię czy z pięciolotowych po żywek wyżyje do emerytury. Pewnego dnia oszaleje. Wspomni o nim czasem jakiś drobny pijacek, zdmuchując pianę z kufła pod budką.

Nigdy nie wiadomo skąd może spłynąć krzywda na człowieka. Ktoś kiedyś wysłał do „Przekroju” fotkę dziewczyny z margerytką we włosach. Pismo zamieściło ją w dziale listów do redakcji. Lata minęły od tamtego czasu, a dziewczyna dniem i nocą, latem i zimą, w pracy i na wycieczce ma wpiętą we włosy margerytkę. Na pierśsiach nosi zwłędły, pozółkły

numer „Przekroju”. W każdej chwili sposobna go pokazać, pochwalić się, zaimponować. To było najważniejsze wydarzenie w jej życiu. Pismo za mieszczając zdjęciem zamroziło i usankcjonowało niejako dzieło czynne osobowości. Na wieki.

Ludzie przesiadujący w tym Klubie są na ogół nieszkodliwi. Tyle, że obok idzie czas wspaniałej młodzieży, a oni gnuszą się w oparach dymu. Dziewczeta bez uprzedzeń ra sowych, chętne cudzoziemcom z krajów trzeciego świata, ale i tubylcom chętne. Chętne wszystkim. Z nudów, z ciekawości, z braku lepszego zajęcia, kontakty z cudzoziemcami są swoistą formą poznawania świata. Coś jak lekcja geografii lub przyspieszony kurs nauki języków obcych. Słowem erotyczna podróż dookoła Ziemi.

Kabotyńska pleć męska jest mniej nerwowa. Apatyczni młodzieńcy w atmosferze inercji doskonałej czekają na konsumpcję swej małej przygody. Czasem tylko któryś się poru szyć, wtedy atakuje z zawziętym sadyzmem i wyprowadza delikwentkę za szyję z lokalu. Taki widocznie ich pasterski obyczaj.

Przychodzą do tego Klubu jak do urojonego świata, światła mętnych wyobrażeń, seksualnych obsesji i intelektualnych manii. Ludzie z poczuciem małowartościowości. Z czasem dziwaczeją, nawzajem się oglupiając i pomniejszając. To wszystko.

Wyda się, że ta jedność, to niemieckie „ein Mann — ein Wort”, to polskie „słowo się rzekło — kobyłka u plotu” — przestały być notowane na rynku jako jakaś wartość odniesienia. Jeszcze się liczy słowo pisane. Biurokracja nauczyła nas, że języka do akt się nie przykleja, że nie istnieje, co nie zostało napisane i podpisane. Ale jeśli ktoś podpisze — czyli uzna za swoje — dwa sprzeczne ze sobą zdania, dwie opinie, dwa dokumenty (a to się zdarza, nikt mu tego za złe nie weźmie, tylko porówna daty i za ważną uzna po prostu wypowiedź późniejszą. Proste, zgodne z pragmatyką służbową, wygodne.

Zjawisko potrójnego języka, o którym chcę mówić, jest Wasz wszystkim na pewno dobrze znane. — Oczywiście, macie rację, kolego, ale przecież oficjalnie nie mogę tego powiedzieć — mówi nam ktoś stojący trochę wyżej od nas w przerwie konferencji. Lekarz przepisuje na naszą prośbę bardzo polecany środek, ale mówi przy tym: prywatnie to ja bym panu radził tego nie zażywać, bo szkodzi na wątrobę. Prywatnie szkodzi, a oficjalnie pomaga.

Oficjalnie jednostka zwierzchnia nie może żądać dodatkowych sprawozdań, nie zatwierdzonych przez GUS. Ale może żądać i zażądać danych, których żadne zatwierdzone sprawozdanie nie obejmuje. Odpowiedź na takie żądanie nie ma w tytule słowa „sprawozdanie” i wszystko

jest w porządku. Jeśli ktoś się przed tym broni, to oczywiście oficjalnie ma rację, ale prywatnie podpadł na długo, a może na zawsze.

Światne są te niuanse: „prywatnie”, „w zasadzie”, „między nami mówiąc”. „Jeśli o mnie chodzi”. Pozwalają niefrasobliwie włączać się do wielkiej gry, wielkiej umowy, rezerwując na inne okoliczności i na inny użytek — inne zdanie. „Tylko człowiek niekonsekwentny jest zawsze wierny samemu sobie!” — glosił sardonicznie wielki Oscar Wilde. „Człowiek nie krowa, poglądy zmienia” — mówił inny kolarz, rodzimego chowu. Tak więc już jest, że poprzez formułowane poglądy nie obcujejmy wcale z ludźmi, którzy je wygłaszają, tylko z samymi tymi poglądami „jako takimi”. Podobają nam się albo nie, ale ludzie niezależnie od tego podobają nam się albo nie. Ludzie bez żadnych poglądów, bo kto ma trzy to nie ma żadnych. Oczywiście, to moje prywatne zdanie. Prywatnie zresztą nawet się nie dziwię, że tak jest, bo trudno na przykład mówić żonie, co się naprawdę myśli o ferytycznej sąsiadce z przeciwka, a sąsiadce — że żona nam absolutnie wystarcza.

Oficjalnie jednak podpisuję ten felieton, czyli uważam, że trzy języki to żaden język. Z dziesięćszą datą.

CWIEK



Lewym
okiem

TRZY RÓWNA SIĘ ZADEN...

Miałem dawno temu, w wojsku, przelożonego, który pozostawił mi w pamięci jednym tylko, kapitalnym powiedzonkiem:

— Panie, ja zaczynam mówić i prawie jednocześnie zaczynam myśleć...

Powiedzonko to wydawało się śmieszne, bo jeszcze wcześniej, w szkołach, uczono nas, że należy dwa razy pomyśleć, zanim się coś powie. Uczono poszanowania własnych słów, odpowiedzialności za to, co się mówi. W literaturze z dawnych czasów mamy setki przykładów na to, że ludzie szli do więzień, na stosy, na wygnania, a słowa danego dotrzymywali. Uważali, że tak trzeba, że treszcze człowiek jest jednością, jego myśli i słowa do tej jedności nierozdzielnie należą, ich naruszenie jest naruszeniem całości, okaleczeniem człowieka. Nie lubili się samookałeczać. Byli na to zbyt dumni.